№ 12.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 9. Czerwca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Teraźniejszość jest to tylko delikatna linia pomiędzy przeszłością a przyszłością, i teraźniejszość jest chwila tak krótka, że jéj ani zachwycić, ani oznaczyć niemożna, bo wymawiając sam wyraz teraźniejszość nim się przyjdzie do syllaby szość, to już trzy poprzednie syllaby jako wyrzeczone zapadły w przeszłość. Niebiorąc jednakże teraźniejszości tak ściśle, można jéj granice oznaczyć i teraźniejszość bywa braną względnie do epoki, a dla tego może być bardzo rozszerzoną i to zwyczajnie kosztem przeszłości. Jeżeli się n. p. powie za czasów oświaty indyjskiéj, egipskiéj, za czasów oświaty greckiéj i rzymskiéj, a nakoniec teraz: tu pod teraźniejszością rozumiemy całą erę chrześcijańską. My mamy zamiar wyrzec w kilku słowach na teraźniejszość, która może dziesięciu lat pożycza od przeszłości i pytamy się w czém taka nasza teraźniejszość różna jest od dawniejszych czasów. Żeby zaś jeden czas rozróżnić od drugiego, trzeba porównywać rozmaite wypadki które zaszły, rozważyć ludzi co ważne grali role, spojrzeć na prawa jakie pouchwalano, zagłębić się w obyczaje, co wszystko może być zatrudnieniem tylko historyka filozoficznie i wielostronnie ukształconego, doświadczeniem wyrobionego, znajomością rozmaitych stosunków, a nakoniec wrodzonym talentem obdarzonego. Rzecz zatém taka nie na każde wmieści się barki i żeby wejrzyć na teraźniejszość, trzeba inną to jest skróconą i sztuczną wziąść drogę. Oto literatura jest każdéj chwili i każdéj epoki najlepszym obrazem. W literaturze trzeba znowu patrzeć jaka gałąź bierze przewagę nad innemi a dopatrzywszy się tego można powiedzieć, że téj lub owéj epoki lub teraźniejszości są te a nie inne cechy. Jeżeli wejrzymy o dziesięć lat wtył, przyznamy podobno, że literatura była tylko polityczną. Polityka przebijała się po wszystkich rodzajach pism tak dalece, iż prace wszystkich pisarzy powieści a nawet książki do nabożeństwa częstokroć tchnęły duchem politycznym. Późniéj a powiemy teraz nastąpiła epoka religijna. Nierozumie się tu bynajmniéj, że ludzie w ostatnich latach zostali o wiele religijniejszymi, ale to jest niewątpliwie, że więcéj o religii myślą, mówią i piszą, jak kiedykolwiek. Wszystkie umiejętności jeżeli niebiorą tła z religii albo w zapieraniu jéj, to ją zawsze niejako w pomoc przybierają i z nią się mięszają. Filozofia nawet występuje za religią, albo przeciw niéj i można powiedzieć, że zbacza od zapatrywania się z równą interessownością na ogół — uniwersum.

W naszych czasach czytamy o consilium w Lipsku, o colloquium w Wittenbergu. Gazety są pełne wiadomości o Jezuitach, sporach za nimi i przeciw nim. Gdyby n. p. zmarły przed dwudziestu laty historyk wstał z grobu i gdybyśmy mu podali dzisiejsze pisma czasowe, powiedziałby, że z niego żartujemy, że to źródła dokładne średniowiecznéj historyi, a przynajmniéj powiedziałby, że wcale dziś niemamy literatury, że przepisujemy tylko przestarzałe rzeczy, że nad tém się kłopocemy co dawno rozebrane, obrobione i skończone.

Wiemy z doświadczenia, że każde wielkie poruszenie religijne było zawsze wstępem do nadzwyczajnego poruszenia w narodach; obecne poruszenie religijne jest z pewnością niedrobne; niemasz wątpliwości, że jakieś wielkie wypadki zakryte jeszcze tajemnicą

spoczywają na łonie Opatrzności, ale już się ku nam wychylają. Dziś literatura w ogóle mniéj przynosi nowości, mniéj obudza interes, a przecież bardziéj się szerzy jak kiedykolwiek: niesłychana moc ludzi pisze, wydaje, drukuje Jesteśmy oczywiście na schyłku jakiegoś starego życia: piszący nieprzynoszą pokarmu dla ducha, a mają łatwość, wprawę, obfitość. Niemasz wielu autorów, ale jest mnóstwo fabrykantów rękopisnych, mnóstwo tych co drukują, sprzedają, roznoszą. Więcéj nawet co kupują jak czytają. Oczywiście literatura zeszła tylko na jakieś stanowisko mechaniczne i z pewnością się nie podniesie, dopókąd niezajdzie taki wypadek, od którego w dziejach zacznie się datować nowa epoka.

Gra w Szachy.

POWIEŚĆ WŁOSKA Z SZESNASTEGO WIEKU.

Noc ciemna rozpostarła się na zatoce neapolitańskiéj, po któréj inną porą tak mile oko błądzi i pasie się widokiem pięknego włoskiégo nieba i piękniejszéj jeszcze okolicy. Zawyły wichry wśród grzmotów i piorunów a bałwany morza piętrzyły się wysoko. Wśród tych zburzonych fal widać było mały statek rybacki zwany Speronara, który walczył z gwałtownością żywiołów, a jak się zdawało i staczał zarazem walkę o śmierć lub o życie. Maszt zgruchotany już dawno kawałkami po bałwanach pływał, a statek na podobieństwo czarnéj skorupy unosił się ku brzegom. Trzech żeglarzy z załamanemi rękami z wyrazem rozpaczy na twarzy, stało w milczeniu na pokładzie, czwarty zaś człowiek już w podeszłym wieku kierował jeszcze sterem i ostatnich sił wytężeniem ratował statek od zguby; u nóg jego tuliło się dwoje dzieci, chłopiec czarnego włosa liczący około lat dwunastu i siostrzyczka jego o kilka lat młodsza. Oboje płakali rzewnie ale płacz ich dziki orkan zagłuszał, a łzy zmięszały się z spienioną wodą, która ich zalewała. Nagle trzasło coś straszliwie, zgruchotany ster statku ostatnią sternikowi odebrał nadzieję. Wysokie i strome skały brzegu, o które się hukiem bałwany spienione rozbijały, odległe jeszcze były na jakie 1000 kroków. Speronara w tę stronę wichrem pędzona szła na pewną zgubę.

Dzieci uklęknijcie, módlcie się do Boga, zawołał w rozpaczy ojciec, a gdy one w tę chwilę zaraz przestraszone, poklękły, położył ręce swoje na nie i polecając Bogu te drogie sercu swemu istoty, spojrzał w Niebo, zkąd dla nich ratunku wzywał.

— Ojcze, więc musimy umierać? zapytało dziewczę ze łkaniem.

— Ja niechcę jeszcze umierać, zawołał chłopiec.

Ojciec tymczasem postąpił parę kroków na pokładzie, oderwał ławkę, stąpnął na nią jedną nogą i rozłamał na dwoje. Wziął potém dwa postronki, przywiązał dzieci do tych kawałków deski.

— Gdy się rozbije statek, trzymajcie głowy do góry, a gdy poczujecie pod sobą mieliznę, rozwiążcie węzeł postronka.

— Więc tak się uratujemy ojcze, zawołały dzieci.

— Być może, odparł ojciec ponuro.

— A ty ojcze?

— Bóg wie, odpowiedział.

W téj chwili wir morski porwał statek, uderzył nim o skałę, a już z całéj Speronary tylko rozgruchotane rozbitki unosiły się w bałwanach.

* * *

Na trzy mile od Syrakuzy wśród ruin starego antyteatru rzymskiego stał domek odosobniony, do którego wiodła zaledwie widzialna ścieszka, wijąc się pomiędzy gruzami i bujnemi zaroślami. Mało kto tędy uczęszczał i niktby nie myślał, że dom ten odłogiem leżący, przez ludzi jest zamieszkały, gdyby niebyło widać pod murem kilka stojących sprzętów i ławki pod samotnym pomorańczowym drzewem ustawione. W całéj téj okolicy tak pięknéj i czarownéj, która się po nad brzegami Sycylii ku morzu rozkładała, zdawało się, że to jedno miejsce stanowiło wyjątek. Wysokie ruiny sterczyły na okół i tylko gdzieś niegdzieś przez szczeliny odsłaniał się widok na niebieskie morze. Wszędzie były ślady zniszczenia, wszędzie cicha samotność i głuche milczenie, rzadko kiedy ludzka stopa zabłąkała się w to miejsce, bo i okolica mało w téj stronie była ludna i tylko biedni zamieszkiwali ją rybacy. Wiedzieli oni, że w tym samotnym domku mieszkał jakiś lekarz, którego nazwiska nieznając nazywali go tylko il dottore i nawiedzali go, gdy który z nich zachorował i lekarskiéj żądał pomocy. Choć każdy ją natychmiast i bez płacy odbierał, a nawet w lekarstwa został zaopatrzony, nieudawano się przecież do niego chyba w największém niebezpieczeństwie: tak dalece odstraszała jego powierzchowność, jego wzrok ponury i surowy i jego pustelnicze życie. Niewidziano go nigdy w towarzystwie drugiéj osoby, ile razy przechadzał się po nad urwiskami morskiego brzegu i zbierał rośliny i kamienie. Gdy spostrzegł

w pobliżu kogo z żyjących, zwracał natychmiast kroki swoje w przeciwną stronę, aby się z nim niespotkać.

Z owym doktorem w tym domu mieszkała jego gospodyni, która kupując niejedno od rybaków zostawała z nimi w bliższych stosunkach i oswajała ich z myślą, że człowiek ten którego się bali, niejest złym duchem, ani czarnoksiężnikiem, ale tylko dziwakiem. Niekiedy nawet pomiędzy uboższych rozdawała pieniądze, dopomagała im w nędzy i w chorobie, a choć mówiła, że to czyni z polecenia pana, zakazywała przecież surowo, aby nikt się do niego nieudawał ani z podziękowaniem, ani po nowe wsparcie. Gniewne oblicze i opryskliwe słowa doktora, które już niejednego w podobnym przypadku spotkały, odstraszały wszystkich i nikt nieśmiał bezpośrednio udawać się do niego, zostawując go w téj długiéj samotności, któréj szukał.

W Syrakuzie, od czasu jak się nasz nieznajomy na owe pustelnicze puścił życie, różne o nim chodziły pogłoski. Jedni mówili, że pokutuje za ciężkie jakieś zbrodnie; drudzy, że tam fałszywe robi pieniądze, inni jeszcze, że się djabłom zapisał i w tych ruinach co noc z nimi harce wyprawia, lecz gdy niemożna mu było nic złego zarzucić i pieniądze które wydawał, niebyły fałszywe, gdy nawet podczas uroczystości Śtéj Rozalii opiekunki rybaków kosztowną lampę posłał do parafialnego kościoła i obraz téj Świętéj patronki nad drzwiami domu swego zawiesił, — upadły wszystkie te pogłoski i ta tylko o nim ustaliła się opinia, że to jakiś uczony fiksat.

Lubił on burze i nawałnice i najczęściéj o takiéj porze obierał swoje przechadzki. W czasie wyżéj opisanéj burzy, wybrał się nad brzeg morski. Był to człowiek około lat 60 mający, ale jeszcze dosyć silny i włos jego mało jeszcze posiwiał. Wyraz twarzy jego był ponury, ale szlachetny; kto spojrzał w żar jego oczu głęboko w czole utkwionych i na jego poorane czoło, poznał w nim od razu głębokiego myśliciela. Ubiór jego był staroświecki, ale poważny. Trzymał książkę w ręku, a że ciemność dnia blade tylko słała światło: raz po raz tylko ją otwierał, a częściéj poglądał na walkę żywiołów, huczącą po nad morzem. Właśnie na brzeg wyrzuciła fala coś czarnego, spojrzał o kilka kroków od siebie i poznał łomy rozbitego statku. Musiał się gdzieś rozbić okręt pomyślał, nieszczęśliwi potonęli, albo raczéj szczęśliwi, bo gdzież szczęście jeżeli nie w grobie. Kto tu na tém morzu żywota rozbije łódź życia o skały złudliwéj nadziei, nieszczęśliwéj miłości, ten godniejszy jest pożałowania.

W tych myślach postępował daléj, już się uspokoiła burza i nowe coraz szczątki rozbitych łodzi i statków dobijały się do brzega. Naraz przy uciszonym wichrze słyszy jakby skumlenie zwierzęcia ciche i słabe, jakby już ostatkiem sił życia goniące: pospieszył w kierunku usłyszanego jęku i doszedł do dwojga dzieci poprzywięzywanych do kawałków deski, z których tylko jedno jeszcze jęk żałosny wydawało. Wszedł kilka kroków we wodę i wyciągnął te biedne ofiary na brzeg. Rozwiązane dziewczę miało jeszcze tyle sił i przytomności, że wskazało na chłopca i zawołało rzewnie: to brat mój Anastazjo! ratuj go drogi panie. Ciało chłopca było blade i zimne, ale zdawało się, że pulsy niezupełnie jeszcze ustały. Lekarz dobywa flaszeczki z likworem, kropli kilka wpuszcza w usta, naciera mu piersi i skronie i po niejakim czasie przywraca go do życia.

Pierwsze jego słowa gdy oczy otworzył i ujrzał nad sobą klęczącą i płaczącą siostrę, która prędzéj była przyszła do siebie, zapytał się: Kamillo! gdzie ojciec?

Poszukamy go, odrzekł starzec i wziął chłopca w ramiona swoje, niosąc go do domu. Dziewczę acz osłabione natężyło umysł i siły i postępowało zwolna za nimi.

* * *

— Jak się mają dzieci? zapytał doktor gospodyni swojéj, która do pokoju jego wchodziła.

— Lepiéj się mają od nas, łaskawy panie, bo śpią spokojnie, a my już od lat kilku od spoczynku odwykli.

— Przeklęty ambaras, który mi się niewiem zkąd i poco na kark zwalił. Trzeba było, żeby się ów statek właśnie w téj stronie rozbić musiał. Ludzie ci mogli byli w każdém inném miejscu równie spokojnie utonąć.

— Niemów pan tego, bo to bluźnierstwo; dziękujmy raczéj Bogu, że nas tu zesłał na ratunek tych biednych dziatek.

— Piękne mi dzięki, chyba za to, żem się nabawił kłopotu, jak się teraz tych dzieci pozbyć. Trzeba ci będzie iść kobieto do rybaków, pomówić i ułożyć się z nimi, żeby te dwoje dzieci wzięli do siebie. Ja dam pieniądze, ale niechcę z nikim gadać, nikogo z tych ludzi widzieć.

— Jeżeli nie ze względu na nas, to ze względu na dzieci, należy się Bogu zawsze wdzięczność. Ale pocóż panie mamy się tych dzieci pozbywać, oddając je do obcych ludzi?

— Czyś oszalała, zawołał doktor, przecież ich nazad do morza niewrzucimy.

— A niechże mnie wszyscy Święci od takiéj myśli zachowają, zawołała pobożnie gospodyni, a wpatrując się z łagodnym wyrazem twarzy w surowe oblicze pana dodała: ja myślę, żebyśmy je przy nas zatrzymać i wychować mogli.

Jak gdyby kto prochu pod siedzenie mu podłożył, skoczył z niego doktor. „Tego mi jeszcze trzeba, zawołał gniewnie, ażeby mi dzieci nad uszami krzyczały; zkąd tobie kobieto taka myśl szalona!“ Atoli stara gospodyni, ujęta losem i pięknością dziatek i rada, że prawie kogoś będzie miała koło siebie, niedała się odstraszyć gniewem i popędliwością pana; z największą cierpliwością i łagodnością znosiła jéj wybryki i póty mu przekładała swoje różne powody, aż coraz bardziéj słabieć zaczęły jego zarzuty. Najwięcéj przemówiła do jego przekonania, że ona stara i słaba długo już nie pożyje, a Kamilla mogłaby się wyuczyć przy niéj gospodarstwa, aby potém jéj miejsce przy panu i zbawcy swojemu zastąpić; że chłopiec zdaje się mieć bystrość i talent, żeby mógł przy pracach, które pan dniem i nocą w laboratorium swojém podejmował, być mu pomocny i pożyteczny; że szczęściem jest otoczyć się takiemi istotami, które go nie jako pana i dobrodzieja swojego, ale jako tego, który im życie uratował kochać i szanować będą. Zaręczając w końcu, że starać się o to będzie, aby mu dzieci przy jego naukach w niczém nie przeszkadzały i w niczém się nie naprzykrzyły, skłoniła nareszcie starego, iż się udobruchał i pozwolił na zatrzymanie dzieci w domu.

Stara Barbara, bo to było imie gospodyni, znała słabości swojego pana. Ona była rzeczywistą panią domu, a on na jéj łasce, na jéj rozkazach; wszelako tak zawsze rzecz prowadziła, że podawając mu pomysły swoje, wmawiała w niego, jakby od niego pochodziły, i jak gdyby jego nie czyja inna wola stanowiła. Ten fortel udał jéj się i tą razą przewybornie.

Barbara wywiedziała się od dzieci skoro tylko się już uspokoiły i do zdrowia zupełnego przyszły, że ich ojciec zwał się Szyder Bowi, i że statek, który posiadał, cały jego majątek stanowił.

Ponieważ matka dawno im była odumarła i niemieli żadnych krewnych w Lorento, zabierał je ojciec zawsze z sobą ile razy do Sycylii płynął. I teraz zabrał je był z sobą płynąc do Celonii dla wzięcia ładunku oliwy.

Wszelkie dopytywania się o ojca, które Barbara czyniła, były nadaremne; zdawało się, że podczas owéj burzy utonął bez śladu.

Pożycie tych dzieci w domu pustelniczym doktora nietylko było znośne, ale i przyjemne, bo choć rzadko kiedy widziały swego wybawcę, znalazły w Barbarze prawdziwą matkę, która z niewymowną troskliwością dbała o ich rzeczy, o ich porządne i religijne zachowanie się, a widząc jak pod jéj ręką rozwijały się nadobne wdzięki tak chłopca jak dziewczęcia, zakochała się w nich jak w własnych swoich dzieciach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O instynkcie człowieka określenia władz duszy.

(Ciąg dalszy.)

O nieśmiertelności duszy.

Królestwo Boga jest wewnątrz człowieka.
Słowa Chrystusa.

Zkądże przyszło tyle dumy prochowi i tyle wymagań nicości? *Ancillon.*

O! któżby nie ucieszył się na tym padole płaczu na widok téj radości niebieskiéj i wiecznej! *Fenelon.*

Uwagi powyższe miały za cel jedynie człowieka. Chciałem się poznać i oto obracając wzrok mój na siebie samego, ze wszystkich stron przyszedłem do Boga; Bóg istnieje, ponieważ w nas umieścił świadka swojéj istności; istnieje, ponieważ wszystkie władze duszy szukają go i znajdują; wypadek to ogromny i niezawodny. Wszystkie dowodzenia teologiczne mają swoje autonomie; ale tu niema rozumowań, nie ma argumentów: to jest wiara niebieska: to Bóg, który się objawia sumieniu rodzaju ludzkiego.

Oto nasz najpiękniejszy tytuł do nieśmiertelności! Bóg wszystko uczynił dla człowieka, dozwalając mu się przeczuwać. Dla czegożby objawił się temu, któryby musiał przestać go poznawać. Kochać Boga i wrócić do nicości, to rzecz sprzeczna w sobie i niepodobna; zapatrywać się na wieczność i przestać istnieć, to niepodobna.

Ale powiesz, ja nieśmiem wierzyć tak wzniosłym przeznaczeniom. Bóg dał mi tę myśl jedynie dla osłodzenia cierpień życia, a ta myśl, chociażby była tylko złudzeniem, jest jeszcze najwspanialszym z darów. Cóżby Bóg mógł mi być winien nad to? A więc rzuć okiem w około siebie i w pośród tylu dobrodziejstw, któremi jesteś obsypany, staraj się znaleść zawód. Idzie o dowiedzenie się, co było przeznaczoném, a co daném, czyli dary wyrównywają potrzebom, czy życzeniom. —

Szukaj zwierzęcia, któreby miało pragnienie i któreby nie mogło wynaleść strumienia; rośliny przywiązanéj do ziemi, któréjby powiew ranny nie przyniósł słodkiéj rosy; myśli ludzkiéj, któraby nie mogła być spełnioną, uczucia miłości niemogącego być ziszczoném. Gdy mówi do każdego umysłu: to co pojmujesz dam ci, a jego wspaniałość okazuje się aż na krańcach natury. Widzisz tego wątłego motyla, głowa jego jest ustrojona w dyamenty, jego skrzydła ucieniowane kolorami tęczy; dla niego to zefir porusza kwiaty, dla niego światło kielichy ich napełnia wonią, a niebo upuszcza w nie kroplę swéj ambrozyi; dla niego ziemia jest wspaniałą ucztą, a życie jutrzenką promienistą, poświęconą roskoszy. A jednak w pośród tylu bogactw, na łonie tylu uciech, żaden głos nie obudza jego wdzięczności; nic nie zajmuje go prócz żądz jego; po za jego horyzontem nic nie niepokoi go: żyje on, używa i umiera: jego przeznaczenie jest spełnione. Jakto! motyl nie został oszukany, a człowiek nim byłby? Byłoby w nas uczucie bez celu, żądze bez wypełnienia, przeczucie wieczne bez przyszłości, męczarnie nicości obok nieśmiertelności przyrzeczonéj i odmowionéj, przyrzeczonéj ponieważ jest wskazaną?

Ale cierpienia! Ale śmierć! Skarzysz się na śmierć, jakobyś nie nosił wewnątrz siebie uczucia, które ją zwycięża. Niestety! nie zbywa nam na tych wielkich naukach, mięszają się one do życia wszystkich ludzi. Bóg zsyła nam uciechy jakoby gońca niebios, który nas powołuje, aby przyjść do niego, a nieszczęście jako surowego pana, który nas do tego zmusza. Tu przy mnie kilka dni temu, widziałem gasnące dziecię, jedyną myśl swéj matki. Niestety! z jakąż to trwogą i boleścią szukała ona życia w tych oczach zagasłych na wieki! Słyszę jeszcze ten głos rozdzierający! widzę dotychczas jéj bolesne spojrzenia! Wszelkie pociechy rozbijały się o to słowo, „ono już nie żyje!" Nagle jéj dusza zapala się, niebieska radość błyszczy w jéj oczach zalanych łzami: wzywa imienia Boga! przypomina sobie jego obietnice! Uczucie nieśmiertelne wraca jéj to, co straciła. Ta niepocieszona matka, która nic słuchać niechciała, zagłębia się teraz w natchnieniach nieskończoności; już nie na ziemi ale w niebie przypatruje się swojemu dziecięciu.

Ah! gdyby go już niemiała oglądać: jakież piekielne urąganie! Maszli Bogu zbywać na potędze lub sprawiedliwości? Byłażby wspaniałość i prawda w instynktowém życiu motyla, a sztuka i kłamstwo w życiu moralném i religijném człowieka? Cnota prześladowana na ziemi i obracająca oczy swe ku niebu; poświęcenie dla ojczyzny i rodzaju ludzkiego; heroizm, który już tutaj niczego nie żąda; wszystkie poświęcenia uczynione dla powinności, w jednym celu podobania się Bogu, byłyżby więc jedynie błędem ludzkości. Dusza twoja o Sokratesie, miałażby myśli rozleglejsze od stworzenia? Ty! przyjacielu prawdy! miałżebyś umrzeć dla kłamstwa! Bóg oszukał by Sokratesa! Istota stworzona byłażby wspanialszą od Twórcy?

Nie! Nie! Opatrzność nieodpowiada wyrokiem śmierci wiecznéj, mędrcom, którzy jéj używają, rodzajowi ludzkiemu, który ją zaświadcza. Odpowiedzi jéj nie należy czytać na grobach, ale w duszy naszéj; z któréj wyrywa się szczytny okrzyk: Bóg! Wieczność!

Ta dusza jest czemsiś co nie poświęcone bogactwom i próżnościom świata, gdyż niémi pogardza; czemsiś, co nie jest utworzone dla ziemi, gdyż pragnie ją porzucić.

Kiedy człowiek rzuci spojrzenie na około siebie, cóż widzi? Stworzenie, które ze wszystkich stron wznosi się aż do niego: a kiedy je zwróci na siebie, gdy się nad sobą zastanawia i sobie przypatruje, cóż znajduje po za granicą swych namiętności ziemskich? Instynktowe uczucie nieskończoności; sumienie, które dąży do doskonałości idealnéj; rozum, którego światło odbija się ku niebu; duszę nakoniec, któréj wszystkie władze promienieją ku Bogu; tajemnicze uczucie Bóstwa, które nam oznajmia świat inny, niżeli jest ten, który zmysły nam objawiają. Królestwo Boże jest wewnątrz człowieka.

O źródłach geniuszu i cnoty.

Ci, którzy niećwiczą duszy swojéj, nie zdolni są do pięknych dzieł duszy.

Xenofont.

Jeżeli chcecie pojmować to co jest Boskiego, miejcie zmysł Boski.

Nieszczęśliwi młodzieńcy, którzy w ubóstwie swoim chcą się zbogacić pożyczając występków; którzy biorą za śmiałość niemoralne zuchwalstwa, którzy spodziewają się znaleść nowe uciechy w zepsuciu, i nie spostrzegają, że są jedynie naśladowcami tych starców zużytych, którym zdaje się, iż młodnieją, ponieważ wyniszczając się, upadlają coraz bardziéj swoją istotę.

Salvandy.

Skoro już żywioły człowieka są znane, jego byt, jego wielkość, jego słabość i sprzeczności, wszystko się tłumaczy. Człowiek jest duszą połączoną nie z ciałem, nie z trupem, jak mówi Maxym z Tyka, ale z zwierzęciem żyjącém i pojętném, obdarzoném wszystkiémi instynktami i namiętnościami innych zwierząt. Dwie istoty przeciwnéj natury, które tworzą tylko jedną, dwie myśli, dwa interesa; dwie wole, które pomiędzy sobą walczą o panowanie, oto jest człowiek. Dusza

i ciało jest to jeździec i rumak: puszczają się oni w szranki, walczą, tulą się do siebie, przechodząc ze zwycięztwa do porażki, z porażki do zwycięztwa; aż do chwili, w której zwierzę zemdlone pada wśród szranków, wyziewając ducha, umiera; jeździec uwolniony rzuca nań zaledwie ostatnie spojrzenie i cały drzący jeszcze po tak długich zapasach, staje w obliczu pana, który go ma wynagrodzić lub ukarać.

W naszych edukacyach teraźniejszych wszystkie starania, cała przezorność, jest dla rumaka: dla niego śmiałość, dla niego siła, dla niego chwała i ambicya. Niechaj się puszcza w szranki, niechaj się poi oklaskami tłumu: jego namiętności są obudzone, jego pojętność zwiększona, czas i materya do niego należą. Ale któż myślał o usposobieniu jeźdzca? Jakież nauki odebrał on dla kierowania się w szrankach? Jakim sposobem przygotowano go do szermierstwa? Kto mu dał potrzebną do niego wolę i odwagę? Wytresowali zwierzę na rajtszuli, rozwinęli jego pojętności, zapełnili jego pamięć, użyznili jego talenta, jego namiętności, jego występki i zatrzymują się z dumą, sądząc, że wychowali człowieka. — Czyliż rozumiecie teraz, dla czego dusza ma tak mało mocy nad ciałem? Dla czego jéj walki są tak słabe, jéj opory tak błache, a następnie dla czego tak mało moralności, tak mało religii, tak mało sumienia, tak mało cnót na ziemi? Trzeba nam nauczycieli dla poznania mszycy, dla umieszczenia w właściwéj klassie muszli, dla odróżnienia kota od krzaka róży; ale gdzież nauczają o człowieku, téj istocie szczytnéj i utajonéj, o człowieku którego wykształcenie i poznanie tak jest ważne? W jakiéj szkole, w jakim zakładzie zatrudniają się rozwinięciem w nim uczucia pięknego, albo uczucia moralnego, albo uczucia nieskończoności, albo rozumu, albo sumienia; tych szlachetnych władz duszy, które go łączą z Bogiem.

Tu przecież jest cała siła człowieka: pojętność jego mieści go tylko na czele zwierząt; dusza oddziela go od nich i wzywa do dopełnienia obowiązków. Niechaj zgromadza się w rodziny, niech tworzy ludy, buduje miasta, to prace pszczół i mrówek; niechaj w nich ustanawia prawa; niech zjedna prawami sprawiedliwości, to będą dzieła człowieka.

Wychowujmy więc ludzi, jeżeli chcemy widzieć w społecznościach naszych co innego niżeli mrówki ludzkie; przedewszystkiem należy się przekonać, o téj prawdzie, że rozwinięcie władz duszy jest źródłem jedyném i powszechném wszystkich naszych wyższości: jéj to winniśmy arcydzieła geniuszu, błogie cnót owoce, wszystkie szczytności rodzaju ludzkiego! Uczucia moralne Bajarda i L'Hoptala, Sokratesa i Fenelona; uczucia pięknego Homera i Kornela, Szekspira, Lafontena, Moliera, Lamartina; uczucia nieskończoności Platona i Kartezyusza, Kanta i Newtona. Nasze to połączenie z Bogiem czyni nas wielkiémi; oddzielać nas od Boga, — a wszystkie edukacye nowoczesne oddzielają nas od niego — jest to odjąć nam geniusz, cnotę i nieśmiertelność.

Uważcie tylko ten wpływ władz duszy na pracę malarza lub rzeźbiarza. Można być wielkim w kolorycie, rysować dobrze, zręcznie ułożyć obraz, a przecież nie wznieść się nad mierność. Skopijujesz wzór, nadasz mu piękność fizyczną, nadasz ruch i kolor; będzie to jedynie praca ręczna, praca pojęcia, dzieło bez życia, jeżeli nie wyciśniesz na nim piętna duszy. Wznoś więc duszę twoją artysto, niechaj czuję jéj tchnienie; niedoznaje jéj zapał, tylko przyczyna nieśmiertelna może udzielić nieśmiertelność.

Mamy tę podwójną władzę, że możemy w wyobraźni naszéj upiękniać przedmioty natury, i udzielać naszym własnym utworom tę piękność idealną i moralną, która pochodzi z duszy. Geniusz nie maluje tak, jak postrzega zewnątrz, ale jak widzi wewnątrz siebie. Uczucie pięknego jest światłem umysłu.

Wchodzę do muzeum i wybieram obraz, którego wykonanie materyalne jest godném uwielbienia: przysięga Horacyuszow Dawida. Uznaję w nim czystość kształtów, dokładną znajomość starożytności, umiejętność dramatyczną; jest coś energicznego w postawie tych trzech wojowników; ich postawy zdaje się, iż wykonywają przysięgę; przysięgają walczyć; a to za kogo? Tu zastanawia się praca umysłu. Malarz wydał wspaniałe ruchy gimnastyczne, ale żaden głos nie powstaje z tego płótna; moje uwielbienie przywięzuje się do piękności linii, do czystości rysunku, ale nic nie obudza we mnie miłości ojczyzny. Ten starzec, który podaje oręż, jest człowiekiem pijanym, słuchający go młodzi ludzie są jedynie pospolitymi żołnierzami. Nie słyszę tego żołnierza odpowiadającego na głos Rzymu, nie widzę tego uczucia zwycięstwa, które błyszczy na czole bohaterów; wszystkie te głowy są mierne, a przecież pomiędzy tymi wojownikami jest zwycięzca, który się stanie okrutnym zabójcą.

Gdzież jest ten Rzymianin, tak zapalony dla honoru Rzymu, który w uniesieniu swojém ma mu poświęcić swoją siostrę? pokaż mi go., daj mu duszę razem szczytną i dzielną, albo porzuć pędzle. I cóż znaczy praca pojęcia, miałeś mi dać stronnicę historyi świata a dajesz mi dowód zręczności wielkiego zalotnika.

Naprzeciw tych namiętności całkiem fizycznych, naprzeciw tego obrazu całkiem materyalnego, postaw—

my jeden z tych rzadkich arcydzieł, które z duszy artysty otrzymują życie i nieśmiertelność.

Kilka lat temu podczas wycieczki do Włoch, po zwiedzeniu muzeów Wenecyi, Bolonii i Florencyi bogatych w arcydzieła, które zwycięstwo dało Francyi, przybyłem do Medyolanu, gdzie spodziewałem się uwielbiać wieczerzę pańską Leonarda da Vinci. Dzieło to jakby przypadkiem rzucone na ścianę refektarza, było w stanie zniszczenia: podczas wojen rzeczypospolitéj, refektarz ten służył z kolei za stajnię i za koszary; głębokie uszkodzenia były tego skutkiem; obraz na pół zatarty, żyjący jeszcze, był już tylko rodzajem nadprzyrodzonego zjawiska; rzekłbyś, iż to są owe cienie raju Miltona, których kształty zaledwie wskazane zdają się w każdéj chwili rozwijać życie. Trzeba mi było pewnego czasu, ażeby się rozpoznać, jak pomału oczy moje przyzwyczaiły się do tego widzenia; uchwyciłem linije, rozróżniłem postaci, i arcydzieło stało się widzialne. Jaki przedmiot! i jakiż malarz. Wszystkie namiętności ludzkie wprawione w ruch przez namiętność Boską. — Trwoga, zdziwienie, zdrada, oburzenie w apostołach; litość i miłosierdzie w spojrzeniach Nauczyciela: jeden tylko uczeń z głową zwieszoną wyraża boleść: ów nie zapewnia o swém przywiązaniu, ów martwi się a jego zmartwienie jest jeszcze miłością. Wszystko to jest widzialném w malowidle zatartém, albo iżby się lepiéj wyrazić, część fizyczna obrazu jest martwą, ale jego dusza istnieje; ona przeszyła materyę w tych śladach szczytnego dzieła, czytam myśl każdéj postaci, poznaję uczucie każdéj osoby, słyszę Ewangelią, widzę uczniów i chwałę Boga.

Trudnoby było znaleść bardziéj uderzający przykład wpływu duszy na sztuki; jest to nauka dla artystów. Zbogacaj twoją pamięć, wprawiaj rękę, rozwijaj umysł — to dzieło czysto zwierzęce, nie czerpiesz z ożywiającego źródła pięknego — i nieskończonego, nie stworzysz nic nad nicość. Jedynie drogą cnoty przychodzi się do arcydzieła.

Szczytna zasada, a któréj najpiękniejsze rozwinięcia należą do Sokratesa. Katon powtórzył je nazywając mówcą człowieka uczciwego, biegłego w sztuce mówienia. Tak mędrzec Grecyi i mędrzec Rzymu przypisywali geniusz nie pracy umysłowéj ale piękności duszy. Oba mówili: źródłem wymowy jest cnota, a przez cnotę rozumieli oni uczucie obowiązków względem ludzi i bogów.

Zapomnienie tych zasad pogrążyło nas w zamęcie. Człowiek wziął za cześć najwyższą to, co w nim było znakiem wyższéj zwierzęcości. Cóż wynikło? Młodzież ognista i uczona ruszyła się ze wszystkich stron. Każda osobistość czyni się środkiem; bo umysł daleki od łączenia ludzi, rozdziela ich: każdy przychodzi z rozumowaniami odrębnemi, nikt z uczuciem prawdy. A jeźli w pośrodku téj anarchii, dusza nie odzyska swojego panowania, nic już nie zobaczymy prócz opinii, bez moralności, ambicyi, bez wędzidła. Jest to właściwém umysłowi zostawionemu samemu sobie, iż porwie za miecze cywilizacyi, ale zabija społecznośc.

Szukają przyczyn naszego upadku w doktrynach filozofów, ale doktryny filozofów są same jedynie skutkiem naszych edukacyi. Ograniczacie człowieka na samym jego umyśle i umysł wydaje swe owoce. Zastanówcie się cokolwiek, co się stało z naszą literaturą, zapytajcie się, czego chce i gdzie dąży? Usłyszycie krzyki wolności, (rzekłbyś iż to lud buntujący się). Ona także ma królów do detronizowania. Ale nakoniec jakież są jéj dzieła? cóż, postawiliśmy się w miejscu bohaterskich literatur paryzkich Augusta Ludwika XIV.? Czyliż zbliżyliśmy się do natury? czyliż postąpiliśmy więcéj ku źródłom serca ludzkiego? Czyliż nas uczyniono prostszymi, prawdziwszymi, namiętniejszymi? Nie, w miejsce okręgu zużytego, postawiliśmy okręg ciasny; w miejsce literatury konwencyonalnéj literaturę powierzchowną; w miejsce prawideł, samodzielność. Wykreśliliśmy z poetyki naszéj uczucie heroizmu, a nawet dowcip francuzki. Już nie jesteśmy poetami, już nie jesteśmy kochankami, już nie tworzymy ale malujemy; to jest talent Dawida przeniesiony do mowy. Chcą przemawiać do oczu i z człowieka przedstawiają jedynie ciało i namiętności zwierzęce: te namiętności, których nasycanie jest końcem. Otwórzcie nasze nowe arcydzieła, rozpatrzcie się w téj literaturze, któréj zaiste nie zbywa ani na jędrności, ani na talencie, ale która odrzuciła swe posłannictwo regeneracyjne, zatapiając się w materyi. Postaci obrzydłe otaczają was, okropne dramy uciskają was, rzucają was w świat fantastyczny na pastwę męczarni i oprawców. Ani jednego spojrzenia ku niebu, ani jednego uczucia dla serca. Przypatrując się tym wszystkim kształtom ludzkim, które zbrodnia w ruch wprawia, rzekłbyś, że to Alboryk Danta, przechadzający się po ulicach Genui, podczas gdy dusza jego zstąpiła już do piekła. Nie jest to życie, nie jest to śmierć; to trup ożywiony przez szatana: oto typ naszych utworów literackich, oto bohaterowie dram i zmyśleń naszych. Możnaby rzec, iż celem sztuki nie jest już nic innego jak wzbudzenie trwogi i odrazy.

Ale my kopijujemy naturę, oddajemy wiek i ludzkość; dzieło nasze to człowiek. Tak, człowiek zwierzęcy; ale człowieka religijnego, człowieka oczyszcza-

jącego namiętności swoje uczuciem nieskończoności, napróżno szukam w waszych dziełach. A przecież tam jedynie jest patetyczność, tam prawda i nieśmiertelność. O! nie skłamaliście światu boski Ryszardsonie, cnotliwy Bernardynie, wymowny Russo — nie skłamaliście światu, malując powaby niewinności i szczytne walki cnoty! Jakto? źródło tych roskoszy byłożby na wieki zatamowane? czyliż już nie istnieje na świecie żadne wzruszenie święte, żadne uczucie szlachetne? Ta ziemia tak obszerna, ta natura tak piękna, ta cywilizacya tak zachwalona? czyliż nie przedstawiają oczom naszym nic oprócz scen z cmentarza, dram cudzołóstwa i patetyczności rusztowania?

Otóż to trzeba powiedzieć, dzieła czysto umysłowe. Wszystkie ich skutki są fizyczne: ciało drzy, zmysły trwożą się, ale oko pozostaje suche, serce bezpłodne; nic nie idzie do duszy, ponieważ nic z niéj nie pochodzi. To jest zatém, czego trzeba nauczyć filozofów, artystów, poetów, czego nadewszystko trzeba nauczyć matek, bo one to robią ludzi wielkiemi; jest to nauka duszy, jest to sztuka obudzenia władz jéj, rozdzielenia ich od władz zwierzęcych, nauka prawdziwie ludzka, ponieważ celem jéj jest powrócenie człowieka na właściwe mu stanowisko, z którego sprowadzić go jest dążeniem wszystkich naszych edukacyj.

Wiedz, co go wywyższa a co poniża, pokaż mu upodlenie w tych nałogach materyalnych, które nie rozwijają myśli; w tych namiętnościach brutalskich, które ją ścieśniają i zabijają; pokaż mu nadewszystko chwałę i szczęście w rozwinięciu jego najszczytniejszych władz duszy: uczucia pięknego i miłości prawdy. Mieć giętkość tygrysa, odwagę lwa, przemysł bobra, poświęcenie się psa, jest to żyć życiem wszystkich zwierząt; życie człowieka zaczyna się dopiero z uczuciem bóstwa.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

MODY.

Paryż, dnia 30. Maja 1845.

Staniki u sukni zawsze tą samą formą, u rękawów tylko spostrzegamy odmiany. Rękawy tak nazwane rosyjskie całe w bufki, ładnie wyglądają przy sukni tarlatanowéj lub z jakiéj innéj cienkiéj tkaniny; także tak nazwane tureckie, u góry zupełnie wązkie a ku dłoni coraz szerszym krojem. Pod te ostatnie zwykle biorą podrękawki. Mantyle z tyłu osłaniające całą kibić, z przodu z końcami zschodzącemi do kolan, ukośnie przebite gdzie się ręce wykładają, są powszechnie lubionemi. Obszywają je zwykle, jeżeli są atłasowe: koronkami z aksamitu, a jeżeli z delikatnéj wełnianéj tkaniny, wtedy zwykle ukosem z takiéj saméj materyi.

Między największemi nowościami widzieliśmy tu wzór kaftanika nazwanego kabat serbski; może on był z aksamitu lub cienkiego sukna, oszyty od brzega pliszem albo aksamitem w deseń, a w koło i na kieszonkach sznurkami wyszyty w arabeski. Długość jego zachodzi na pół kibici, z przodu okrągło na piersi; rękawy szerokawe, kieszonki z przodku. Nic wygodniejszego, a przytém ładniejszego, jak taki kabat serbski w chłodny dzień zamienić na ranny ubiór.

Od środka tego miesiąca ukaże się mnóstwo kapeluszy krepowych i ażurowanych ze słomy, z gałązką wiśniową w kwiciu, lub jakim innym kwiatem stósownym do pory roku.

Damy z przedmieścia Saint Germain poszukują kapeluszy nazwanych à la Caroline. Jest to kształt kapeluszy, który księżna Berri najbardziéj lubiła, długi i mało któréj twarzy przypadający.

Budoary elegantek zwykle miewają ściany obite materyą, jak to przed stu laty bywało. Jeden z takich niezmiernie zachwalany, obity mantyną błękitną, z czterema na krzyż drzwiami, u których różnie jak u okien wiszą firanki oszyte srebrnemi frandzlami. Deski drzwi także obite mantyną, na których są haftowane kwiaty i rozmaite owady.

Na wieczorki, noszą bardzo szlafroczki tarlatanowe białe podbite niebieskiém lub różowém, ujęte kilku kokardami wstążek takiegoż koloru. Staniki u nich marszczone i wygodne, rękawki krótkie. Nie które takie szlafroczki bywają haftowane, lub obszyte w koło koronkami, do których biorą stósowne szemizety. Na taki strój zarzucają zwykle czarny koronkowy szal.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut sukienny — chustka ciemnego koloru na szyi — kamizelka pikowa w paseczki — pantalony w paski z cienkiéj wełnianéj materyi.
2. Kapelusz jedwabny z piórami — Suknia z letniego kaszemiru — szal koronkowy.
3. Kapelusz atłasowy z jedném piórem — Suknia z mieniącéj materyi obszyta pasamonami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*